Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 50.

dnia 13. Listopada 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

OFIARY UCZUCIA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez Marję Grochowalską.

(Ciąg dalszy).

Tadeusz nie uwiadamiał Celiny o swem przybyciu, chcąc jej sprawić miłą niespodziankę. Pociąg przybył o dziewiątej wieczór, a ponieważ Tadeusz znał jej zwyczaje i wiedział, że do późna w nocy czuwa, wprost z hotelu, w którym rzeczy zostawił, udał się do niej. Ach! jakże mu spieszno było powitać swe bóstwo jedyne!

Celina nie chciała porzucić dotychchczasowego mieszkania, by przenieść się do wspanialszego.

Przechodząc koło okna, zobaczył Tadeusz, że tak jak wówczas firanka zasuniętą nie była. Mimowoli wzrok jego zabłąkał się w wnętrze pokoiku. Przy łożu klęczała Celina, a wzniósłszy oczy ku obrazowi Matki Zbawiciela, snać modliła się gorąco za szczęście dwu ukochanych istot, bo w oczach taki gorzał ogień święty i takie skupienie ducha widoczne było na twarzy, że Tadeusz nie śmiał się ruszyć z miejsca, by swem wejściem nie spłoszyć tej wzniosłej chwili duchowej rozmowy. Stał tak dość długą chwilę wpatrzony w ten uroczy obraz, gdy Celina się podniosła, a zbliżywszy i nachyliwszy się do kolebki, przycisnęła usta z uśmiechem rozkoszy macierzyńskiej do czołka śpiącej dzieciny. Już chciał wejść Tadeusz, gdy obaczył, że wyjęła jakiś list z za gorsu i usiadłszy przy stole, czytać zaczęła. W ciągu czytania twarz jej wyrażała taką rozkosz, taki bezmiar szczęścia, że Tadeuszowi z radości mało serce nie wyskoczyło z piersi, a gdy po skończeniu, z błogim zachwytem wznosząc oczy do góry, przycisnęła list do swych ust koralowych, podniósł rękę do ócz, bo mu się tam dwie łzy — łzy szczęścia zakręciły. Zapytując się w duszy, czem na takie szczęście zasłużył, postąpił ku drzwiom, a otworzywszy je, stanął na progu. Celina miała wzniesione śnieżne ramiona ku puklom cudnych warkoczy, widocznie już w zamiarze splecenia ich do snu, gdy drzwi się otwarły. Zobaczywszy w nich Tadeusza, sądziła że to błogie złudzenie, a bojąc się poruszeniem spłoszyć ukochane zjawisko, stała niema i bez ruchu.

— Celino! — dał się słyszeć głos tak jej miły — Celino! czy mnie nie poznajesz?

Teraz dopiero rzuciła się ku niemu, a opasując mu szyję drobnemi rączętami, zawołała:

— To ty? Ty mój ukochany. Ty przy mnie? O! i ja nie przeczułam tego szczęścia! — i nadmiar rozkoszy przelał się łzami z cudownych oczek.

Chcieć opisywać takie chwile byłoby świętokradztwem!

Tadeusz dnie całe spędzał przy ukochanej, nie spiesząc się wcale z powrotem i ani domyślając z jaką niecierpliwością był tam oczekiwany. Celina z listów jego wiedziała o gościach bawiących u niego, raz przeto zapytała, czy miłe ma towarzystwo.

Tadeusz opisywał ich szczegółowo, a w końcu rzekł:

— Jakkolwiek miła mi ich bytność w mym domu, przyznaję ze wstydem, że z niecierpliwością oczekuję końca restauracji pałacu w ich majętności, gdyż pobyt ich opóźnia szczęście, do którego tęsknię, jak ptak do słońca! — to mówiąc obie jej ręce przycisnął do ust spragnionych.

— Opisz mnie dokładnie Lonię — rzekła Celina. — Że jest nader ekscentryczną, pisałeś mi już wiele o tem, ale czy piękna i szlachetna?

— Lonia... — rzekł Tadeusz — jakżeż opiszę ci Lonię? Na jej usposobienie i naturę złożyło się trzy istoty, mianowicie: dziecię bez żadnej świadomości życia, chłopak, pełen odwagi, energji i uporu, a nakoniec dziewczę na pół dzikie, nie chcące znać formułek i obowiązków, które na nas przymusowo nakłada życie. Zbierz te trzy istoty razem, a będziesz miała obraz Loni.

— Musi być szlachetna i szczęśliwa — pytała dalej Celina.

— O nieszczęściu nie ma wyobrażenia; jest szlachetna, lecz wszystkie szlachetne popędy jej serca są bezwiedne. Dusza jej jest na wskróś dobra i szlachetna, lecz postępki jej, będąc takiemi, nie są wywoływane

poczuciem obowiązku. Postępując tak a nie inaczej, słucha tylko wewnętrznego głosu, który jej dobrze czynić każe.

Celina długo milczała. Ona, chociaż nie miała jeszcze lat dwudziestu, na wskróś znała życie i wszystkie jego ponęty i ciernie. Pojęła więc, jak takie piękne i niewinne dziecię, może stać się dla niej niebezpiecznem. Ciemny rumieniec oblał nagle jej lica, a podając rękę Tadeuszowi:

— Popatrz mi w oczy — rzekła.

Tadeusz zdumiony podniósł na nią wzrok swój i przez krótką chwilę starły się ich spojrzenia. Widać, że to, co w nich wyczytała, zadowoliło ją w zupełności, bo spuściwszy oczy ku ziemi, rzekła zapłoniona:

— Dziękuję ci drogi.

— Cóż to miało znaczyć? — zapytał ze śmiechem Tadeusz.

— Nic — nic! — chciałam z twych oczu wyczytać prawdę. Dowiedziałam się i jestem szczęśliwą.

— Więc nie wierzyłaś mi dotąd? Sądziłaś, że jestem zdolny do fałszu i kłamstwa? — a w głosie jego przebijał się żal źle ukrywany.

— Przebacz mi, przebacz Tadeuszu — szepnęła Celina i w oczach jej zaświeciły łezki — ale widzisz — wiesz przecież, że byłabym zdolną wyrzec się mego jedynego szczęścia, byleś ty był szczęśliwy.

— Cóż to znowu ma znaczyć? — przerwał zaniepokojony Tadeusz. — Gdzież jest me szczęście, jeźli nie przy tobie?!

— Gdybyś jednak pokochał Lonię, to czyste, niewinne i śliczne dziecię...

— Przestań, przestań — przerwał jej Tadeusz — zkąd myśl podobna! Ja miałbym pokochać inną? pokochać Lonię? Podobnemi słowami wyrządzasz krzywdę mnie i sobie. Czyż ona pod jakimbądź względem wytrzymałaby z tobą porównanie? Czyż w czemkolwiekbądź można ją postawić na równi z tobą? Lonię lubię jak siostrę, i żal mi ją, bo pomimo majątku i imienia przy swem usposobieniu szczęścia nie znajdzie. Czyż można kochać dziecię, nie mające pojęcia o miłości? O! Celino, ty widzę nie wiesz, jak ja ciebie kocham, ty nie wiesz, z jakiem upragnieniem oczekuję chwili naszego połączenia, ty chyba mnie nie kochasz, gdy wątpisz o mej miłości!

— Tadeuszu, czy nie obawiasz się zgrzeszyć podobnemi słowy? — odparła Celina, z anielskim uśmiechem patrząc mu w oczy. — Ty i mój syn, jesteście dla mnie światem — życiem — szczęściem — i właśnie dla tego, że nie mam słów nawet na określenie mej miłości dla ciebie, jestem zdolna z pogodnym uśmiechem dla szczęścia twojego złożyć moje w ofierze. Ale nie mówmy już o tem i nie zakłócajmy przeczuciem burzy, jasnej i pogodnej chwili życia naszego.

Na tem skończyła się ta rozmowa, bo ciche kwilenie odezwało się z kołyski i Celina pospieszyła utulić ukochane dziecię.

Po dwóch tygodniach musiał nareszcie Tadeusz opuścić jedynie ukochaną, słodząc sobie pożegnanie nadzieją związku, który naznaczony został za dwa miesiące. Po jego odjeździe nawet szczebiotanie syna nie mogło rozweselić Celiny.

Tadeusz wracał do Młynicy, rozkosznie rozmarzony wspomnieniami chwil świeżo przeżytych przy Celinie, w których coraz więcej poznawał niewyczerpaną dobroć i słodycz jej charakteru, jakoteż wysokie wykształcenie i bezgraniczną miłość dla niego, którą jednak osłaniała tak wielka i prawdziwa godność niewieścia, że myślą nawet nie śmiał przekroczyć granic narzeczonego.

Szary zmrok rozpościerał już swe cienie, gdy najętą furmanką na najbliższej stacji kolejowej, zbliżał się do domu. Ćwierć mili jeszcze dzieliło go od dworu, gdy na kopcu granicznym spostrzegł stojącą jakąś postać kobiecą, a dojeżdżając bliżej, poznał w niej Lonię. Teraz dopiero przypomniał sobie o jej istnieniu, i przyszły mu na myśl słowa wyrzeczone przez Celinę; nie rad był przeto temu spotkaniu. Zrównawszy się jednak kazał stanąć i wyskakując z nędznej bryczyny, ze zdziwieniem niczem nieusprawiedliwionem, gdyż znając jej usposobienie, taka samotna wycieczka nie powinna go była zadziwiać, zawołał:

— Co pani tu robisz sama jedna i o tej porze?

— Coś mi szeptało, że pan przyjedziesz; stoję tu więc od godziny i czekam — odrzekła podając mu obie ręce.

— Ależ zlituj się pani! Marzec dopiero ku końcowi — wiatr mroźny przenika do kości, a pani ubrana tak lekko — dorzucił z wyrzutem Tadeusz.

— Wychodząc, zapomniałam wziąć ciepłe okrycie — ale nie czuję zimna. Widzisz pan jakie mam ręce gorące.

W istocie rączki dziewczęcia paliły się w dłoniach Tadeusza.

— Chciałam z panem pierwsza się widzieć i powiedzieć wielką tajemnicę, którą dopiero po jego odjeździe odkryłam — mówiła dalej Lonia, postępując obok niego, gdyż furmanowi kazali jechać poprzód do dworu.

— I jakąż to tajemnicę? Zaintrygowałaś mnie pani — rzekł Tadeusz, uśmiechając się nieznacznie z przejęcia się dziewczęcia ważnością swej roli.

— Że pana kocham! — odrzekła prędko i głośno, nie owijając słów w bawełnę.

Tadeusz spojrzał na nią zdziwiony, lecz wyczytawszy z jej twarzy, że słowa, które wyrzekła, nie są niewczesnym żartem, lecz podyktowało je głębokie przekonanie i przeświadczenie o ich prawdziwości, stanął zdumiony. Żadne słowo nie przyszło mu w pomoc, któremby mógł się odezwać do tego dziecka, które z całą nieświadomością, jak dalece przekracza granice form światowych, z całą swobodą i prawdą odkrywało mu to, co w stosunku, w jakim byli do siebie, powinno było ukryć na dnie serca.

— Tak mi było okropnie po wyjeździe pana... a! myślałam że umrę! Przestałam kochać babcię — mamę — świat — niebo — wszystkich i wszystko! Próbowałam się modlić, ale modlitwa słowami tylko biegła w niebo, a w piersi tak było pusto i duszno! — Szczęście, że mama, która jak mówi przechodziła podobne chwile, powiedziała mi, że przyczyną mej choroby jest miłość dla pana... o! prawdę powiedziała — bo od tej chwili jestem zdrowa i szczęśliwa! Ale — ciągnęła po chwili dalej — mama mówiła mi także, że miłość moja jest nieszczęsną i grzeszną, bo pan kochasz inną, a mnie nigdy kochać nie będziesz... To nieprawda! ja w to nie wierzę! Kochasz pan Celinę i ożenisz się z nią — dobrze — nie — nie dobrze — bardzo źle — okropnie nawet! lecz gdy inaczej być nie może, muszę się zgodzić i na to. Ja jednak panu nic złego nie zrobiłam, a chociaż jestem złą i brzydką, musisz mię pan troszkę — troszeczkę pokochać... bo cóżby panu z tego przyszło, gdybym ja umarła?! Babcia i mama nie przeżyłyby mojej śmierci... i panu — ja wiem — żal by było troszeczkę... Sam Bóg nawet nie może zabronić mi kochać pana — wszak prawda? — Odkryłam panu przeto moją tajemnicę, bo chcę żebyś wiedział, iż oprócz Celiny jest druga istota, której jesteś drogi.

Lonia mówić przestała, a wzrok jej szukał odpowiedzi na twarzy Tadeusza. Ten nie mógł długo zdobyć się na żadne słowo, bo i cóż zresztą mógł powiedzieć temu dziecięciu, w swej niewinności spowiadającemu się tak szczerze? Dochodzili już do dworu, gdy Tadeusz, czując, że koniecznie coś odpowiedzieć mu wypada, przemówił:

— Panno Lonio, dobra, kochana panno Lonio. Pani jesteś ślicznem i niewinnem dziecięciem i w swej niewinności bierzesz za miłość uczucie przyjaźne, które masz dla mnie. Ja panią kocham jak najdroższą siostrzyczkę, a moc i prawda tego uczucia nie zamąca ani na chwilę mej miłości ku Celinie, z którą za dwa miesiące stanę przed ołtarzem.

— To mi wystarcza — rzekło cicho dziewczę — więcej niczego nie pragnę. Dziękuję i za to i starać się będę tak postępować, byś pan i po swoim ślubie zachował dla mnie to uczucie braterskie. — Uścisnęła rękę jego i razem weszli do dworu, w którego oknach błyszczały już światła.

Od tego wieczora Tadeusz lawirował tak umiejętnie, że nigdy nie znalazł się sam na sam z Lonią. Zachowała ona tę samą swobodę w obcowaniu z nim, nigdy jednak ani jednem słówkiem nie wracała do poprzedniej rozmowy.

W połowie kwietnia pałac w Proszowie stał już przygotowany na przyjęcie swych właścicielek, które też Tadeusz po wymianie słów serdecznych i szczerych podziękowań, odwiózł do ich majętności. Dnia tego z rana, gdy babka i matka spoczywały jeszcze, Lonia wracała już z konnej przejażdżki. Oddała konia stajennemu i właśnie wchodziła na ganek dworu, gdy oko w oko spotkała się z wychodzącym Tadeuszem.

— Dzień dobry panu — zawołała. — Zły to gospodarz, który spi tak długo. Spędziłam konie jakieś, które się swobodnie pasły na młodej oziminie. Ciekawam jak mnie nie będzie, kto pana tak zastąpić potrafi? — Chodź pan — szkoda ślicznego poranku. Babcia i mama śpią zapewne jeszcze. Chodźmy do ogrodu — i zdjąwszy czarny, wysoki kapelusz, rzuciła go wraz z szpicrutą, oprawną w kość słoniową, na podłogę ganku. Potem uniosłszy jedną ręką ciemno błękitną suknię, drugą wsunęła pod jego ramię. Tadeuszowi nie pozostawało, jak zastosować się do jej woli.

Drzewa do wpół już prawie okryte były liściem — słońce świeciło owym rannym, wiosennym blaskiem i złotemi, ożywczemi promieniami głaskało młodą trawkę. Szli w milczeniu długą, dziś jeszcze nie ocienioną aleją. Tadeusz był zmięszany — Lonia wbrew zwyczajowi milcząca. — Na skręcie stanęła i podniósłszy oczy, wpatrzyła się w niego z uporem. Po chwili rzekła niby wesoło:

— Za uprzejmą gościnność masz pan wszelkie prawo żądać od nas w ogólności — odemnie zaś w szczególności — podziękowań a nawet nadgrody. Babcia i mama zasypią pana zapewnieniami wdzięczności, lecz jakże ja się wywiążę z tego zadania?

— Przyjaźnią dobrego serduszka pani — odrzekł Tadeusz, bezwiednie ściskając jej rączkę.

— Jestem wspaniałomyślniejsza, niż pan sobie wyobrażasz. Zamiast cząstki serca, ofiarowuję całe. Nie mam z niem co robić, więc weź pan je wraz z całem uczuciem, jakie w sobie pomieścić może.

Zchyliła się i zerwała kilka pierwiosnków, lecz wnet je rzuciła.

— Chciałam dać panu na pamiątkę te pierwsze dzieci wiosny, lecz przyszło mi na myśl, że zwiędłyby wkrótce, a ja nie chcę, by co zwiędłego przypominało mnie panu. Moje uczucie nigdy nie zwiędnie! Otóż gdy pan spotkasz kiedy świeże i pełne woni pierwsze kwiatki wiosny, niech panu szepną co o mnie. O! babcia mnie szuka i woła, więc żegnam już pana — i frunęła jak ptaszek, niknąc wśród drzew ogrodu.

Tadeusz spojrzał za nią i coś jak uczucie żalu i wyrzutu odezwało się w jego sercu.

Po śniadaniu towarzyszył paniom w uroczystym wjeździe w bramę pałacu Proszowa, gdzie czekała na nich służba w pełnej gali i obiad suto zastawiony. Wkrótce jednak musiał je pożegnać, gdyż zajęcia powoływały go do domu. Na odjezdnem podziękował im serdecznie, za nieodrzucenie jego sąsiedzkiej przysługi i kilkutygodniowy pobyt w jego domu, a polecając się nadal ich względom, prosił o życzliwość dla przyszłej małżonki.

— Panie — odrzekła Joanna — nie dziękowałam mu prawie dotąd, za wspaniałomyślnie wyrządzoną nam przysługę, gdyż wiem, że wdzięczności mojej jesteś

pan pewny. Nie chciałam formułkami światowemi i zimnemi słowy mrozić tej serdecznej przyjaźni, jaka od dnia poznania między nami się zawiązała. Czcze grzecznostki świata zostawialiśmy dotychczas na stronie, zostawmyż je i teraz w spokoju, a w zamian za nie przyjm serdeczne i staropolskie: Bóg zapłać! — Co się zaś tyczy pańskiej przyszłej, to sądzę, że jeżeli pan uznałeś ją godną nazwać mianem małżonki, większej rekomendacji nie potrzebuje i naszej życzliwości pewną być może.

Potem przystąpiła Klara i w kilku słowach szczerze mu podziękowawszy, serdecznie uścisnęła dłoń jego. Odchodząc jednak spojrzała nań z niemym wyrzutem, którego jednak Tadeusz nie spostrzegł. Była to jakby niema skarga matki, za stracone szczęście jedynaczki.

— I ja panu dziękuję — rzekła Lonia z kolei — i wdzięczną mu jestem bardziej jak za gościnność, za zmianę moją duchową, która jest dziełem pana. Nie wiem jednak, dlaczego tak uroczyście obchodzimy tę chwilę? Przecież się nie żegnamy na długo! Zmieniamy tylko mieszkanie i kolej odwidzin, bo gdy dotychczas my przebywaliśmy u pana w gościnie, odtąd pan będziesz częstym bo codziennym gościem u nas. Wszak prawda? — teraz sam, a później z Celiną.

Po solennem przyrzeczeniu jak najczęstszych odwidzin, odjechał Tadeusz. Gdy wszedł do pustych teraz pokoi swego domu, uczuł się dziwnie osamotnionym. Bezwiednie przechodził z jednego do drugiego, wszędzie znachodząc drobne ślady pobytu miłych gości. Nareszcie wszedł do pokoiku Loni. Kilka drobnych gracików, porzuconych na podłogę i bukiecik świeżych fiołków w małej szklaneczce, były jedyną pamiątką po pięknej mieszkance. Długo wpatrywał się w nie Tadeusz, aż fiołki przybrały postać dziewczęcia, równie jak one niewinnego. Fiołki za swą woń i krasę wiośnianą nic nie żądały, darzyły go niemi chętnie i do woli, a czyż dziewczę, które je dziś rano uszczknęło, za swą gorącą miłość i szczerość przywiązania, żądało wzajemności? Bezwiednie podniósł kwiatuszki do ust i odmieniwszy wodę, postawił w swym pokoju na biurku, przy fotografji Celiny. Westchnął potem głęboko, potarł ręką czoło, przeszedł się kilka razy po pokoju i wyszedł zaczerpnąć powietrza, bo mu go nagle zabrakło.

Tadeusz odtąd bywał często w pałacu Proszowa, witany zawsze przez wszystkich szczerze i serdecznie. Lonię spotykał zwykle na drożynie, na którą do ich mieszkania się skręcało i albo razem jechali konno dalej, albo posłuszny koń Tadeusza postępował za swym panem, a oni spacerem, wolno, zbliżali się do ganku, gdzie zwykle siedziała i oczekiwała ich babka. Nigdy żadne słowo, którego nie mogliby powtórzyć przy innych, nie wyszło z ust ich w tych samotnych przechadzkach, które powoli stawały się coraz bardziej milczącemi, lecz które dla Loni miały niepojęty urok. Biedna dziewczyna pędziła na oślep w bezdenną przepaść tej miłości, nie chcąc się nad nią i chwili zastanowić. Z matką unikała rozmowy, a przed babką udawała kłamaną wesołość, która jednakże na zawsze od niej uciekła.

W Młynówce skończono nareszcie przygotowania na przyjęcie młodej pani i Tadeusz dnia jednego przyjechał do Proszowa pożegnać się i prosić o błogosławieństwo, z którem miał stanąć przed ołtarzem z ukochaną.

Joanna jak matka ucałowała czoło jego, kreśląc na niem krzyż błogosławieństwa. Klara cicho szepnęła słów parę i z łzą w oku spojrzała na Lonię. Ta stała z wypieczonemi rumieńcami i oczami płonącemi żarem. Tadeusz był dziwnie zmięszany i pominąwszy Lonię, zaczął rozmawiać o czem innem, a gdy koń zarżał przed gankiem, jakby dając znak do odjazdu, począł żegnać drogie mu znajome, które dziś dlań stanowiły jakby najbliższą rodzinę.

Wszyscy wyprowadzali go na ganek, w tem dziwnym głosem zawołała Lonia:

— Czekaj pan! — i moje błogosławieństwo weź z sobą — i zarzuciwszy mu ręce na szyję, głośny na ustach złożyła pocałunek.

Tadeusz skoczył na konia, jakby sparzony ogniem ust dziewczyny i nie oglądając się na kobiety w ganku pozostałe, popędził jak strzała.

Lonia stała nieruchoma, patrząc za odjeżdżającym, z ręką na piersi szybko falującej, jak gdyby się bała, by serce z niej nie wyskoczyło.

Babka zgorszona jej czynem, próbowała ukazać jej całą niestosowność i nieprzyzwoitość tego postępku, lecz ona zdawała się wcale nie słyszeć tych słów cierpkich. — Po chwili płynęła samotna po szerokiem źwierciadle stawu, bez piosnki na ustach, a gorące promienie czerwcowego słońca, paliły niczem nie osłonięte, smagłe i rozognione lica dziewczęcia.

W piękny poranek czerwcowy, przy dworcu kolei na stacji N., czekała elegancka kareta, zaprzężona czterema rączemi szpakami. Stangret i lokaj, zniecierpliwieni oczekiwaniem na nadejść mający pociąg, słodzili je sobie piwem i głośną gawędą:

— Nie wiedzieć, co teraz będzie z hrabianką Proszowską — widocznie pierwej zaczętą rozmowę, ciągnął furman Wawrzyniec.

— A cóż ma być? — odparł lokaj Benedykt — popłacze może trochę i koniec! Przecież ona odrazu wiedziała, że nasz pan ma swoją umówioną. Więc po co się durzyła!

— Ot, hrabiowski kaprys! Ale jaka to tam nasza nowa pani będzie, kiedy pan dla niej odrzucił hrabiankę z takim posagiem, która mu się sama w ręce pchała? Przecież to i młode i ładne... Dziwnie to na tym świecie Boże jedyny! byłby stał jak książe jaki! Młynicę złączyć z Proszowem, ha, ha, — taż klucz Proszowski ma dwanaście wsi; to nie żarty! A pan

nie i nie, tylko tamtę... — a jak słyszałem, tamta nawet wdowa i bez majątku — zakończył zadumany stangret.

— Ot! wszystko to tak z rozkoszy wymyślają ci panowie. Nie pracowało to, nie wie jaki to gorzki kawałek chleba... Gdyby tak jeden z drugim spróbował się trochę pomęczyć, wyleciałyby mu z głowy takie zabawki, inoby brał co lepsze, jak pan Bóg przykazał! A hrabianka taka jak wiśnia i za nim szaleje... gdzie on, ta i ona zawsze. Oho! już sunie koleja — dym bucha jak z piekła, a świszcze jak wszyscy djaski. Trzymaj dobrze konie Wawrzyniec, bo już tęgo strzygą uszami. Ja idę na peron, bo pewnie tam będą jakie pakunki. Kobiety bez tłumoków, to ryba bez wody — a zakończywszy tą sentencją, dodał: — Żeby przynajmniej nie jaka grymaśnica! — i znikł zafrasowany w drzwiach dworca kolejowego.

Wkrótce peron zapełnił się wysiadającymi podróżnymi i wszystkich oczy zwróciły się na śliczną, młodą kobietę, która w białej, powłóczystej sukni, wsparta na ramieniu dorodnego mężczyzny, zdążała ku dworcowi. Anielski uśmiech szczęścia krasił jej lica i taka niebiańska błogość rozlana była na jej twarzy, że wszyscy mimowoli rozstąpili się jak przed królową. Za niemi postępowała młoda dziewczyna, niosąc półtoraroczne dziecię na ręku, które z szeroko rozwartą źrenicą, zdumione obcym mu widokiem, ze zdziwieniem w okół spoglądało.

— A jesteś? jak się masz Benedykcie — zawołał mężczyzna, w którym poznajemy Tadeusza — dawno czekacie?

— Od godziny, proszę wielmożnego pana — odparł lokaj, skłaniając się państwu do kolan i przypatrując się pięknej pani, która z uśmiechem skinęła mu głową.

W kilka chwil potem rącze rumaki unosiły młodą parę do ich siedziby. Dziecię kołysane jazdą usnęło — dziewczyna ciekawie przypatrywała się nieznanej okolicy — a Tadeusz szeptał coś cichutko młodej, zarumienionej małżonce.

Lokaj trącił łokciem stangreta i rzekł półgłosem:

— A to ci panie! co piękna, to piękna! Nie dziwota, że pan nie chciał hrabianki!

Wawrzyniec ruszył ramionami i odmruknął:

— Co tam z tej piękności, gdy nie ma dzięgów! Wszystkie kobiety pan Bóg jednakowo stworzył, a co Proszów, to Proszów!

Benedykt zdawał się przekonany, gdyż pokiwał głową, jakby przytakując i litując się nad swym panem.

Na skręcie do dworu znowu lokaj trącił furmana, a wskazując w dal palcem, rzekł:

— O, warjatka! Widzisz jak sadzi przez pola? Jezu Chryste! kark skręci!

W istocie, jakaś kobieta na koniu, w pełnym galopie, pędziła przez pola. Wiatr unosił ciemno błękitną, długą woalkę przy wysokim kapeluszu, a tegoż koloru amazonka łamała się w fałdy od pędu i wiatru. Spienionego rumaka kierowała jedną ręką, nie osłoniętą nawet rękawiczką, w drugiej zaś trzymała olbrzymi bukiet. Zrównawszy się z karetą, nachyliła się do otwartego okna, a zaglądnąwszy w nie, rzuciła bukiet, który padając Celinie na kolana, przerwał cichą rozmowę małżonków. Zdziwieni, oboje wyglądnęli przez okno.

O kilka kroków za karetą galopowała Lonia, a zobaczywszy ich, zrównała się z powozem i rzekła:

— Proszę przebaczyć, jeźli nastraszyłam panią, lecz jestem dobrą przyjaciółką pana Tadeusza i chciałam pierwsza powinszować wam szczęścia, a przytem obaczyć panią. Jesteś śliczna — śliczna i szczęśliwa! A! masz pani dziecię? Jakiż cudowny anioleczek! Dlaczegoś mi pan nigdy nie powiedział, że macie dziecię?

Nim młodzi małżonkowie mieli czas ochłonąć ze zdziwienia i przemówić choć słowo, Lonia była już daleko. Tadeusz czuł się dziwnie zaambarasowany, Celina zaś, podniosła bukiet do twarzy, zakrywając nim ciemny rumieniec i łzy wytrysłe z jej oczu, i zwolna toczące się po licu. Były to łzy żalu i wstydu!

Lonia wyrzekła w swej naiwności: „macie dziecię“. A byłoż to jego dziecię, to, które mu ona narzucała? O! bo Lonia nie miała nawet pojęcia podobnych przewinień; było to dziewczę czyste i niewinne jak łza w oku anioła... ale inni — inni — ale on kiedyś — czy nie pocznie wyrzucać jej hańby w którą popadła bez winy? Coś jak kamień ciężki przygniotło jej piersi i chmurką pokryło czoło.

Po długiem milczeniu przemówił Tadeusz:

— Co za szalona dziewczyna z tej Loni! Masz próbkę jej ekscentryczności.

— I jej serdecznej przyjaźni dla ciebie — odrzekła cicho Celina i kilka łez jak perły rosy zwilżyło bukiet.

Tadeusz odwrócił się prędko do okna, chcąc ukryć zmięszanie, bo wspomniał w tej chwili wyznanie Loni i ostatni pocałunek, którego żar czuł dotąd na ustach.

Tak Lonia mimowiednie zaćmiła pierwszą chmurką pogodny horyzont ich miłości, prędko jednak przedarło ją słoneczko, a gdy wjechawszy w bramę dworu, ujrzeli się powitani solą i chlebem, serca ich napełniły się na nowo błogą nadzieją niczem niezachwianego szczęścia.

— Tyś tu wszechwładną panią, Celino najdroższa! — zawołał Tadeusz, gdy weszli do elegancko urządzonego mieszkania i z całą miłością cisnąc ją do piersi — wszechwładną, bo również jedyną panią mego serca. Panuj nam tu długo i w miłości, a my zawsze będziem gotowi na twe skinienie — i tulił w objęciu ukochaną żonę, która z uśmiechem i łzami odrzekła:

— Nie chcę być twoją panią Tadeuszu, lecz kochającą i wierną towarzyszką dobrej czy złej doli, którą podzielać będzie mojem szczęściem. Licz na to w każdej chwili życia, a nie zawiedziesz się z pewnością. Jedynem jest mojem pragnieniem, o które zawsze błagam Przedwiecznego, byś ty był szczęśliwym.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA ŁODZIE.

NOWELLA.

(Dokończenie.)

Gdy pauza między tańcami nastąpiła, wzięła Lorcię pod rękę i przeszła przez wszystkie pokoje. Nawet zostawiwszy towarzyszkę w rękach garderobiany, która coś u sukni przyszywała, zwidziła i budoar tajemniczy, zrewidowała klomby z zieleni i kwiatów... nigdzie ani śladu po panu Skalińskim!

Nie dano jej spocząć przez cały wieczór, podczas kotyljona obsypano ją najpiękniejszemi bukietami. Gdy o dwunastej muzyka tusz zagrała i wszyscy wzajemnie życzyli sobie staropolskim obyczajem: „Dosiego roku," Emma zbierała od wszystkich serdeczne życzenia, świadczące o sympatji, jaką miała szczęście ogólnie pozyskać. Do łez była rozrzewniona temi dowodami przyjaźni, a jednak tak jej było ciężko na sercu! tak smutno w duszy! Gdzież on się podział? Czemuż on jeden nie spieszy do niej z życzeniami szczęścia na Rok nowy?

— Widziałaś pana Bolesława? — spytała ciotka — bo ja dotąd się z nim nie spotkałam.

Emma ciężko westchnęła.

— Widziałam na chwilkę. Prosił mię do pierwszego *turu* walca, ale już czekał na tegoż hrabia Edgar. Potem nie wiem gdzie się podział.

Jak to jeden błąd, drugi pociąga za sobą. Znowu skłamać musiała przed najlepszą cioteczką, chociaż kłamstwem brzydziła się najokropniej.

Pani Dłuska nie wiedząc o niczem i o nic złego jej nie podejrzywając, więcej nie pytała.

Bal skończył się nareszcie. Tyle obiecywała sobie z niego przyjemności, a tak samochcąc popsuła go sobie! Rozstrój i wyrzuty sumienia nie dały jej przez całą noc chwili spokoju; zabawa, stała się dla niej męczarnią prawdziwą.

O drugiej po północy wsiadła do karety. Pani Dłuska okropnie znużona usnęła natychmiast; Emma usnąć nawet nie mogła. Serce jej biło tak gwałtownie, że aż ból czuła fizyczny, myśli chaotycznie snuły się po głowie, dreszcz gorączkowa wstrząsała nią od czasu do czasu.

A noc była taka cudna, cicha, jasna, niby dzień biały. Księżyc w pełni płynął majestatycznie po niebie w orszaku gwiazd niezliczonych, świeży szron pokrywał każde drzewko, każdy krzaczek najmniejszy. Krajobraz zimowy wyglądał niby zaczarowany ogród jakiej nimfy podwodnej, cały ze srebra i kryształu, lśniący w blasku księżyca tęczowemi barwami brylantów.

Emma nagle się podniosła i ocknęła z bolesnej zadumy. Kareta równała się właśnie z domem pana Skalińskiego. Ciemno wszędzie. Westchnęła ciężko, bardzo ciężko! Ale cóż to tam nad stawem się dzieje? Czy ją oczy mylą? Kiosk chiński rzęsiście oświetlony; pomiędzy wierzbami płonie mnóstwo lamp różnokolorowych i ludzi kilkunastu się uwija. Widocznie czeka przejeżdżające panie jakaś niespodzianka, jakaś prześliczna nad stawem iluminacja!

— Stój — odezwał się głos męzki, silny i energiczny. Stangret oszołomiony i przestraszony osadził konie w miejscu. Pani Dłuska nagle zbudzona, przecierała oczy w owym stanie między snem a jawą, w którym niemożemy zrazu zdać sobie sprawy gdzie jesteśmy i co się z nami dzieje.

Drzwiczki otworzono, na stopniu ukazał się pan Skaliński. Miał na sobie eleganckie futerko skankowe i czapkę wysoką kozacką, z czarnych, krymskich baranków. Nigdy jeszcze nie wydał się Emmie tak pięknym, tak imponującym.

— Pani — ukłonił się grzecznie — pozwól na mojem *terytorjum* złożyć u twoich stóp życzenia szczere wszelkich pomyślności na rok nowy!

Ujął za rękę panią Dłuskę i do ust dłoń jej przycisnął, na w pół zaspana staruszka mruknęła z niechęcią coś niezrozumiałego. Bolesław skinął ręką ku chińskiemu kioskowi. W tejże chwili wysunęło się z tamtąd kilku muzykantów, należących do bandy przygrywającej parom uwijającym po sali pałacowej w B. Zabrzmiały rozkoszne tony walca strausowskiego. Zwrócił się teraz do Emmy i przemówił grzecznie, lecz stanowczo.

— A panią śmiem prosić o ów pierwszy *tour* walca, o który daremnie na balu prosiłem, chociaż jeszcze w Żelabowie zamówiłem panią do niego.

— Panie Bolesławie! — zawołała pani Dłuska oburzona. — Cóż to się wszystko znaczy?

— Wczoraj na balu byłem tak nieszczęśliwy, iż panna Gorzycka ani jednego *touru* walca ze mną tańczyć nie mogła... czy też nie chciała... Tutaj spodziewam się, iż nic jej do tego nie przeszkodzi.

— Zmiłuj się pan! Ani pora, ani miejsce po temu! To chyba żart z pańskiej strony, ale w każdym razie żart niesmaczny i co najmniej... zupełnie niewłaściwy!...

— Łaskawa pani! Dałem sobie słowo, że panna Gorzycka musi ze mną odtańczyć tego walca, obiecanego solennie, a następnie zapomnianego, nim do domu dojedzie. Zwykłem uskuteczniać co raz postanowię. Choćbym miał się narazić na gniew pani i na jej niełaskę, od prośby mojej nie odstąpię. Wszystko zresztą po temu przygotowane. Powierzchnia stawku gładka i lśniąca jak najpiękniejsza posadzka, w sztachetach przejście wyrąbane, przez rów mostek rzucony, a ścieżka do stawku prowadząca, dywanami wyścielona. O przyzwoite oświetlenie i muzykę również się postarałem. Panno Emmo, służę pani!

— Cioteczko droga! — odrzekła Emma bardzo

cichutko. — Nigdy bym sobie nie darowała, gdybym certując się dłużej z panem Skalińskim, narażała ciebie na zaziębienie w nocy po balu. Pozwól mi wysiąść cioteczko. Panie Bolesławie, zaczynajmy!

I nie czekając dłużej, wyskoczyła z powozu, aby przejść do stawu. Bolesław podał jej ramię i wprowadził na posadzkę improwizowaną, z rycerską galanterją. Gdy stanęli na ślizkim gruncie, objął danserkę silnem ramieniem i dwa razy na około z nią obtańczył. Gdy skończyli, znowu jej podał ramię i rzekł głosem drżącym cokolwiek:

— Bardzo pani dziękuję, żeś raczyła tym razem przynajmniej wysłuchać mojej prośby i żegnam ją równocześnie. Rannym pociągiem odjeżdżam do Lwowa,

— Na parę dni zapewne, aby użyć karnawału?

— Nie pani. Po paszport. Wyjeżdżam za granicę, za morze. Na lata całe, kto wie czy nie na zawsze.

— Ah! — jęknęła Emma boleśnie.

— Co to pani?

— Nic, nic! Noga mi się przekręciła.

— Oprzyj się pani silniej na mojem ramieniu.

— Muszę stanąć na chwilkę. Panie Bolesławie, chciałabym mówić z panem, nim odjedziesz.

— Bardzo mi przykro, ale to niepodobna. Pociąg odchodzi za kilka godzin, a jeszcze mam nie jedno w domu uporządkować.

Emma ruchem gorączkowym szal czerwony ze siebie ściągnęła i w rów na śnieg rzuciła.

— Nie mogę kazać dłużej cioci czekać, i nas wszystkich na tym mroźnym wietrze narażać na przeziębienie. Błagam pana jednak gorąco, abyś nie odjeżdżał, póki się zemną nie zobaczysz! Oto mój szal. Wsiądź pan na konia i powiedz u nas w domu, że znalazłszy na drodze, chciałeś mi go wręczyć osobiście.

— Stanie się jak pani sobie życzysz.

W milczeniu doszli do powozu, Bolesław wsadził pannę Emmę i starannie futrem otulił, następnie ucałował rękę pani Dłuskiej i jakby nic nadzwyczajnego niezaszło, zamykając drzwiczki, życzył paniom spokojnej nocy.

Pani Dłuska, odurzona i co prawda w najwyższym stopniu na Bolesława rozgniewana, obrzuciła Emmę pytaniami, co się to wszystko znaczy i czem mogła dać powód, do tak impertynenckiego i despotycznego obejścia? Emma drżącym głosem prosiła o chwilkę jeszcze cierpliwości:

— Wszystko ci powiem mateczko, wszystko! skoro mnie samej będzie jasno w sercu i głowie! Teraz i ja nic jeszcze nie wiem.

Z uniesieniem całowała ciotki ręce i kolana, przyczem na dłonie staruszki kilka gorących łez upadło. I pani Dłuska była kiedyś młodą. Wiedziała, że takie łzy tylko ból serdeczny wyciska. Nie nalegała dłużej i w milczeniu do domu dojechały.

Jeszcze nie zdołały zdjąć ze siebie stroju podróżnego, gdy na dziedzińcu odezwał się głuchy tętent konia w galopie i za chwilę lokaj do drzwi zapukał, z wiadomością, że przyjechał pan Skaliński, z szalem panny Emmy i chce go oddać jej osobiście.

— Najdroższa mameczko! — objęła Emma pieszczotliwie ciotkę ramionami, nie dając tejże słowa wymówić. — Pozwól mi przyjąć samej pana Bolesława. Wnet powrócę do ciebie, aby o wszystkiem co zaszło i zajdzie zdać najdokładniejsze sprawozdanie.

— Zapalić lampę w salonie — rzekła pani Dłuska, zgwałcona tą prośbą gorącą — i prosić pana Skalińskiego. Moja siostrzenica za chwilę tam przybędzie.

— Ależ Emmo, zastanów się! To przecież rzeczy niesłychane!...

— Mameczko! wszystko będzie dobrze, zobaczysz! — skoczyła Emma jak sarneczka i pędem wybiegła z pokoju.

Gdy wchodziła do salonu, gdzie na nią czekał Bolesław, oczy miała spuszczone, przejrzysta bladość rysy jej powlekała, a usteczka zwykle rozkosznie uśmiechnięte, lub wydęte z pewnym dąsem pogardliwym, teraz drgały kurczowo bolem stłumionym.

— Panie Bolesławie — przemówiła cicho i słodko — obraziłam pana ciężko wczoraj; nawzajem wymierzyłeś mi karę, jakąś uznał za stosowną. Skwitowaliśmy się właściwie mówiąc. Musiałam atoli przyrzec małem dzieckiem matce mojej, w chwili jej skonu, że nigdy nie udam się na spoczynek, nie pogodziwszy się wprzód z ludźmi i z własnem sumieniem, nie przeprosiwszy każdego, jeżeli mu w czem uchybiłam. Dla tego prosiłam pana o chwilkę rozmowy przed odjazdem. Chciałam panu powiedzieć, że skoro wymówiłam na balu... owe słowa nieszczęsne... zaczęłam tychże szczerze żałować! i radabym była przeprosić pana za nie... Czy pan jeszcze się na mnie gniewasz?

Podniosła na niego swoje piękne, aksamitne oczy w łzie pływające, z takim wyrazem żalu i trwogi, jak spłoszona gazela, gdy przeczuwa pocisk śmiertelny z ręki strzelca, na jej zgubę czyhającego.

Serce Bolesława staczało gwałtowną walkę z uczuciem gorącej miłości dla ubóstwionej istoty z jednej strony, a z podrażnioną dumą męską z drugiej. Tym razem jednak uczucie obrażonej dumy zwyciężyło. Odrzekł grzecznie, lecz nader zimno:

— Dziękuję pani za łaskawe wyrazy. Odtąd, te ostatnie tylko słowa chcę i będę pamiętał.

Mowa nie zdradzała walki wewnętrznej, zdradziły go jednak oczy. Tak gorącem i namiętnem spojrzeniem obrzucił Emmę, że ta, z bladej lilijki, zmieniwszy się w różę szkarłatem pałającą, oczy przed jego wzrokiem płomienistym w dół spuściła.

— Panie Bolesławie! — szepnęła. — Odpowiesz mi szczerze i otwarcie na jedno pytanie?

— Jeżeli to jest w mojej mocy, chętnie!

— Czy... czy.. myślałeś pan o tej podróży, jeszcze przed balem?

— Na to pytanie, racz mi pani oszczędzić odpowiedzi!

— Obiecałeś mi pan jednak szczerą prawdę!...

— A więc dobrze! — wybuchnął gwałtownie. — Nie myślałem o tem bynajmniej! Biedny szaleniec! zapomniałem o słowach naszego poety, że:

„Ten, który szczęście swoje połączył z kobietą,
„Chwycił gałąź bluszczową nad przepaścią skrytą:
„Urywa ją, pada, ginie wśród kamieni,
„A na górze bluszcz, bluszczem znowu się zieleni".

— I ja marzyłem o podobnem cichem szczęściu domowem, i ja serce moje, ze wszystkiemi tegoż nadziejami, złożyłem u stóp istoty, hojniej, niż każda inna, od natury obdarzonej. Czułem, że ramię moje dość silne, aby mogła na niem oprzeć się z ufnością, na życie całe; czułem, że miłość moja gorąca, uczciwa, potrafi stworzyć tej sercem wybranej raj na ziemi, potrafi osłonić ten piękny kwiateczek przed troskami i burzami życia, aby nie zwiądł przedwcześnie. Chciałem powiedzieć jej: „bądź moją na zawsze, a każdy cierń usunę z twojej drogi, proch będę nieledwie zmiatał z pod twoich stóp"! Jest jednak w łonie mężczyzny coś wyższego nad miłość samą... nasz honor! Nie znosi on najmniejszej plamki, najlżejszego cieniu. Od kobiety, z którą bym losy moje połączył, i której bym nazwisko moje nosić pozwolił, miałbym prawo wymagać, aby honor mój również wysoko ceniła, jak ja go cenię. Przekonałem się niestety, że istota owa, którą nad wszystko ukochałem, nie tylko okrutnie obeszła się z mojem sercem, raniąc je śmiertelnie, lecz igrała niegodnie z moim honorem, stawiając naprzeciw mnie błazna po prostu! — daruj pani cokolwiek może za szorstkie wyrażenie, ale innego użyć nie mogę. — Taką figurę wyzywać, tyle by znaczyło, co okryć się śmiesznością na całe życie!

— Panie Bolesławie — Emma odezwała się głosem łzawym i urywanym — pozwól mnie teraz słów kilka na obronę tejże istoty wypowiedzieć. Czyś jej pan jednak za nadto ostro nie osądził? Nie pomyślałeś o jej smutnem sieroctwie, o tem, że już w latach dziecięcych brakło jej skarbu najdroższego, matki serca i matki opieki. Edukacją jej, to te, to owe płatne ręce kierowały, naginając w różnych kierunkach i dla tego dotąd nie wyrobił się w niej charakter jednolity, dla tego jest czasem złą i kapryśną. Biedna sierota, wzdychała nie raz do tej chwili, kiedyby silna dłoń ukochanego wskazała jej, którędy ma iść przez życie, aby nie zbłądzić. Z jakąż radością chciała wtedy poddać się tej woli wszechwładnej i pójść ślepo, z pokorą uczennicy, za panem i mistrzem swoim! Powiedziałeś pan przed chwilą, że w łonie mężczyzny, jest coś wyższego nad miłość samą... pojęcie o honorze. Dla kobiety nie masz nic po nad to uczucie! Miłość jest jej życiem, szczęściem całem, szczytem jej marzeń dziewiczych! Kobieta rzuca bez wahania pod stopy ukochanego, swoją cześć, życie własne, opuszcza chętnie kraj, rodzinę, wszystko i wszystkich, idzie wraz z ukochanym na puszcze Sybiru, jak i pod pręgierz, jak i na stopnie rusztowania! Dla tego jednak, że miłość jest dla nas kobiet taką świętością, nie chcemy by przed czasem ktoś nie powołany, ręką świętokradzką dotykał się naszych świętości, by zdzierał przedwcześnie zasłonę tajemniczą, po za którą kryjemy nasze bóstwo, nasz ideał. Ukochany może jedynie zajrzeć po za tę zasłonę, jego słowo stanowcze „kocham cię, chcesz być moją?" powinno nam otworzyć złotym kluczem miłości bramy raju, o którym serce marzy, nie umiejąc nawet zdać sobie sprawy z uczuć tak nowych a tak niepojętych. Dla tego nim ta chwila nastąpi, kryjemy z zadrością skąpca nasz skarb drogocenny, dla tego gdy ktoś, jak mnie Lorcia na balu, prześladuje i drażni, mówiąc żartobliwie o naszym ideale, wdzierając się gwałtem w tajemnicę serca naszego, wpadamy w oburzenie granic nie mające i burzymy częstokroć w gniewie własnemi rękami ołtarz, na którym umieściłyśmy w cichości ducha nasz ideał, aby tylko kto inny o nim się nie dowiedział... Pan cierpiałeś... nie więcej jednak jak owa nieszczęśliwa istota, która czuła... czuła..

Łkanie nerwowe stłumiło głos w piersi Emmy. Oczy chusteczką zasłoniła.

— Kończ pani na miły Bóg! — Bolesław chwycił gwałtownie Emmę za rękę. — Kończ, błagam cię o to najgoręciej!

— Czuła — jęknęła Emma boleśnie — że znalazła takiego człowieka, o którym jej serce marzyło i przez własną winę, straciła na wieki!...

— Nie Emmo! Nie ukochana moja! — Bolesław porwał ją w objęcia i namiętnie do piersi przycisnął. — Nie straciłaś go! Któż by mógł się oprzeć tak wielkodusznemu, tak szlachetnemu wyznaniu!

Do drzwi zapukano.

— Pani prosi, żeby panienka zaraz wracała — odezwała się za drzwiami Kasia.

— Idziemy! idziemy! — krzyknął Bolesław w uniesieniu, chcąc czem prędzej całemu światu szczęście swoje ogłosić.

Poczciwa staruszka wpadała dziś z jednego zdziwienia w drugie. Z radością jednak najwyższą, błogosławiła parę u nóg jej klęczącą, a wysłuchawszy całej historji, pogroziła od nosa Emmie:

— Oj ty trzpiocie! trzpiocie! Co też ty wyrabiasz po za mojemi plecami! Strzeż się panie Bolesławie — zwróciła się do pana Skalińskiego — i trzymaj silną dłonią ptaszka tego, żeby ci z klatki nie uciekł. Dobre, serdeczne dziecko! Ale nie łatwa z nią sprawa! Oj! nie łatwa!

— Nie bój się mateczko! — na ustach Emmy dawny, figlarny uśmieszek zaigrał, zdobiąc dwa rozkoszne dołki po bokach. — Już on to potrafi! Jakbym tylko woli jego spełnić nie chciała.... oho! zaraz bym musiała za karę, tańczyć walca „na lodzie"!

KONIEC.

Alfa.

KWIAT TAJEMNICZY.

(Ciąg dalszy).

Leons po rozmowie z hrabiną oparł się o jedną z grup alabastrowych, i tęsknym wzrokiem przebijał zazdrosne draperje i kortynę, które kryły przed nim tę, dla której przyszedł jedynie.

Spojrzał z uwielbieniem, na wchodzącą cesarzowę. Blanka przypominała ją cokolwiek, o tyle, o ile świeży kwiat wiosny, może być podobny do kwiatu, który juz zaznał skwar lata, i nad którego głową, przeszła burza nie jedna.

Serce mu biło gwałtownie, krew skronie prawie rozrywała, był dziwnie usposobiony, jak gdyby przeczuwał coś nadzwyczajnego.

Zadzwoniono trzy razy. Nagle zrobiło się cicho w salonie, gwar ustał, a natomiast popłynęły z sali przyległej tony z zawsze ulubionego *Trubadura.*

Kortyna powoli wznosiła się do góry, w salonie światła przyćmiono, żeby blask cały bił na scenę, i zachwyceni widzownie zobaczyli obóz cygański, a na czele, z tamborynem w dłoni, w pozie prześlicznej, hrabinę Irmę. Trzy razy spuszczano i trzy razy podnosić musiano kortynę, gdyż oklaskom frenetycznym końca nie było.

Obrazy w części pierwszej przesuwały się przed oczyma zgromadzonych, bądź treści religijnej, bądź historycznej, wywołując zasłużone pochwały. Wybór pięknych osób, oświetlenie, ugrupowanie artystyczne, wszystko odpowiadało, wszystko było godne uznania.

Zaczęto roznosić herbatę i inne przekąski. Wtem zpoza kulis, wysunął się jeden z licznych galonowców z miną zafrasowaną i rozglądał się w około, jakby szukał kogoś po sali. Spostrzegł wreszcie Leonsa i jak mógł najszybciej przecisnął się aż do niego.

— Hrabina Kervadek prosi pana natychmiast — szepnął z niskim ukłonem.

— Gdzie? — wypatrzył się na niego Leons w najwyższym stopniu zaintrygowany.

— Proszę za mną, ja drogę wskażę.

Wyszli na korytarz, a z tamtąd drzwiami bocznemi znaleźli się w przedpokoju, do którego na prędce zaimprowizowana scena przytykała. Tu zastali hrabinę Irmę z rękami rozpaczliwie załamanemi, biegającą tam i sam, mimo iż kilku młodzieży męskiej, starało się ją uspokoić.

— Niegodnie! niegodnie sobie Perçi postąpił! — tupała nóżką i rękami trzepocząc. — Mógł przecie jutro rano pojechać!

— Ależ pani! — zaprotestował jeden z obecnych — wezwano go telegraficznie do śmiertelnie rannego przyjaciela, którego mógł już do jutra nie zastać.

— Ach! znam go przecie! To Artur Servigny pojedynkował się. Taki grzeczny chłopak! Byłby pewno na niego zaczekał.

Wszyscy śmiechem parsknęli, gdy w tem Leonsa hrabina spostrzegła.

— Ratuj pan sytuację i mój honor! — porwała go ruchem namiętnym za obiedwie ręce. — Perçi skrewił w ostatniej chwili. Fausta nie mam! Czy pan rozumiesz co się ze mną dzieje?! To wszystko — rzuciła okiem pogardliwem na mężczyzn otaczających — za małe do kostjumu, który na Perçi'ego był robiony. Pan jeden masz postać równie wyniosłą i w ogóle będzie z pana Faust doskonały. Czy chcesz pan mnie wyratować z tego wielkiego nieszczęścia?

— Jeżeli tylko sprostam temu zadaniu — skłonił się nisko Leons, cały szkarłatem oblany — i jeżeli margrabianka de Nangis nie zaprotestuje przeciw zamianie?

— Więc pan przystajesz? — uderzyła w dłonie Irma z radością dziecka. — O Blankę jestem spokojna. Żebym się nie bała wpędzić pana w dumę za nadto wielką, powiedziałabym, iż nie tylko pozwoli, nawet...

—. Rada będzie zamianie — odezwał się za plecyma hrabiny głos ostry, przenikający i zarysowała się w półcieniu, dreszczem przejmująca postać Mefista. Leons drgnął mimowolnie.

— Ha! ha! ha! Czy mnie pan doprawdy nie poznajesz? — zarychotała postać iście po szatańsku. — Najlepszego swojego przyjaciela!

— To także niespodzianka — szepnęła hrabina. — A co? Czy de Lussac nie jest nieporównanym w roli Mefista.

— Istotnie! — mruknął Leons, dotąd jeszcze nie pewny i jakby tym widokiem zaniepokojony.

— A teraz, prowadźcie panowie Fausta nowego do męskiej garderoby i wszyscy mu ubierać się pomagajcie. Faust na sam koniec przychodzi, masz pan czasu aż nadto.

Gdy za chwilę potem zjawił się Leons jako Faust, w aksamitnem ubraniu, z długiem piórem na toczku, wyglądał iście po królewsku. Szmer pochlebny przyjął go na wstępie. Irma aż krzyknęła z radości.

— Ślicznie, cudownie! Panie Michaud, jesteś dzisiaj wielce niebezpieczny! — tu znowu obrzuciła młodzieńca spojrzeniem ognistem, od stóp aż do głowy. — Pójdę zobaczyć czy twoja *Gretchen* gotowa i zaraz ci ją przyprowadzę. Tymczasem przypatrz się pan illustracji, żebyś się oswoił z pozą, którą przybrać macie.

Irma zniknęła za portjerą, a Leons z sercem gwałtownie bijącem, przypatrywał się rysunkowi. Tak więc ma jej wiotką kibić ramieniem miłośnie otoczyć? Tak ona ma się tulić do niego?

Zamknął książkę i szybkim krokiem pokój przemierzał. W oczach mu się ćmiło, po głowie myśli chaotycznie wirowały.

Stanął przed wielkiem źwierciadłem i dopiero od-

bicie jego niezwykłej postaci, upewniło go, iż to, co go czeka za chwilę, jest rzeczywistością, a nie snem czarownym. Poprawił tok aksamitny na głowie, udrapował artystycznie fałdy płaszcza na ramiona zarzuconego od niechcenia i spokojniej już nieco Blanki przybycia wyglądał.

Podniosła się znowu portjera. Irma wepchnęła najprzód Blankę do pokoju, sama nawet nie wchodząc, tylko główkę jak zawsze rozrzuconą między drzwi wetknąwszy, śmiejąc się zawołała:

— Nacieszcie się sobą Fauscie i Margareto! Za chwilę wrócę, aby was ustawić artystycznie.

I znikła na nowo.

Blanka podniosła wzrok na tę postać tak piękną, tak imponującą, a po jej ustach przemknął uśmiech rozkoszny, w oczach promień radości zamigotał.

— Ciocia Irma mi powiedziała — przemówiła wreszcie cichutko, rumieniąc się pod ognistym wzrokiem Leonsa i długą rzęsą oczka przysłoniwszy — iż pan ofiarowałeś się w ostatniej chwili zastąpić hrabiego Perçi, który nas zawiódł tak okropnie. Dziękuję serdecznie za tyle uczynności i grzeczności.

— Ja to mam powód składać ci pani dzięki stokrotne, iż raczyłaś przystać na taką zamianę — głos Leonsa drżał od wzruszenia. — Nie mogę dotąd ze szczęściem mojem oswoić się, nie śmiem mu uwierzyć. A może — dodał ciszej z westchnieniem — może, lepiej było posłuchać tym razem rozumu i nie zbliżać się do ciebie pani, oprzeć się pokusie, wyrzec się chwili rozkoszy, po której zostanie mi jeno ból i tęsknota.

Nie miała już czasu Blanka odpowiedzieć. Z sali płynęły słodkie tony, pełne rzewnej melodji, z opery Faust; scenę przemieniono na ogród pani Marty, w głębi już z Martą po pod rączkę, spacerował nieporównany Mefisto, a Irma zjawiła się, aby ostatecznie młodą parę ustawić. Łatwe to było zadanie, gdyż tak byli piękni oboje, iż sam urok ich młodości i urody, musiał widzów oczarować. Tylko Leons zanadto nieśmiało, otoczył ramieniem kibić Blanki, bojąc się dotknąć tych kształtów wiotkich, dziewiczych. Irma też po raz pierwszy znalazła coś do skrytykowania i zawołała niecierpliwie:

— Nie tak sztywnie panie Leonsie! Pomyśl pan, że Faust jest już w tej chwili po same uszy w swojej *Gretchen* zakochany. Czulej, czulej! na miły Bóg!

Nie potrzebowała powtarzać tego.

Kortyna zaczyna się podnosić. Z jakimż zapałem wpatruje się Faust w lica swojej ukochanej, jakże naturalnie drży w objęciu jego *Gretchen*, niby spłoszona gołębica, obrywając kwiat biały, z którego listków chce się przyszłości dowiedzieć. „Kocha mało... nieśmiało... serdecznie... statecznie..."

Chwilę cisza, jakby istotnie widzów ktoś oczarował. Każdy oddech nieledwie wstrzymuje; gdy jednak skrył się luby obraz przed nimi, zrywa się burza formalna i wołaniu *da capo* końca nie ma.

Trzy razy podnosi się kortyna, a publiczność w zapale nie ostyga, nie mogąc nasycić się rozkosznym widokiem.

Coraz czulej i z czołem dumnie podniesionem, przyciska Faust *Gretchen* ukochaną, coraz trwożniej bije tejże serduszko, tak, że słyszy je niemal Faust pod dłonią swoją. Ten zapał i to pomięszanie, dodaje jeszcze nowego uroku obrazowi.

— Kto to taki? Co to za para prześliczna? — słychać szepty po sali, gdy już po raz ostatni kortyna zapadła. Wszyscy są w entuzjazmie nad tym końcowym obrazem, wszyscy niewyczerpani w pochwałach, tak dla Fausta postaci wspaniałej, jak i dla rzewnej, a tak uroczej prostoty w całym *Gretchen* układzie.

Jedne tylko blade usta milczą, drgając kurczowo, jedno tylko serce bije z gniewu gwałtownie:

— Przez tę Irmę szaloną! — szepcze sama do siebie margrabina de Nangis, mnąc nerwowo w pięści ściśnionej chusteczkę batystową — dzięki tej lekkomyślnicy, znowu to nienawistne, plebejuszowskie nazwisko, stanie obok mojej córki! Wszyscy będą razem powtarzać: „pan Michaud, margrabianka de Nangis!" — Wiek mija od tamtej chwili przeklętej, kiedy jedna z dziewic tego rodu, zapomniała co winna swoim przodkom i samej sobie! Czyżbym miała dożyć czegoś podobnego? O czemuż dali mojej córce to nieszczęsne imię?

Gdy schodzili ze sceny, nachylił się Leons do ucha Blanki, z cicha pytając:

— Cóż pani kwiaty powiedziały?

— Wiecznie! — szepnęła szkarłatem oblana, usty drżącemi, a wzrok jej łzawy, reszty dopowiedział: „że i ona na wieki go już pokochała."

Nikt tego krótkiego *intermezzo* nie zauważył, tylko jedne usta wykrzywił uśmiech szatański, tylko jedna twarz obrzydła, wychyliła się z pomiędzy oleandrów kwitnących, goniąc wzrokiem jadowitym parę zakochaną i potrząsając głową z naigrawaniem... Mefisto!

XII.

UWÓD.

— Witaj bracie! — krzyknął ktoś potężnym basem, nad uchem Maksowi de Lussac, przechadzającemu się samotnie nad brzegiem stawku w Wiesbaden.

— A! to ty Durand — kwaśno i niechętnie odparł zagadniony, uwolniwszy ramie szybkim ruchem, od ręki, która ciężko na niem spoczęła.

— *Sapristi*! Jak ty świetnie wyglądasz! — mówił dalej niezrażony zimnem przyjęciem nieznajomy? — Ha! ha! ha! gdybym nie znał dokładnie twojej metryki, dałbym ci najwięcej lat trzydzieści kilka...

— Czybyś nie raczył zniżyć cokolwiek twój głos donośny, jak trąby jerychońskie — rzucił się de Lussac niecierpliwie — przecież nie idzie nam o popis, kto kogo przekrzyczy.

— Masz słuszność! — zniżył głos do szeptu prawie nieznajomy. — Chociaż miałbym wielką ochotę głosić twój tryumf nad cnotą świeżo nawróconego. Od kilku dni widzę kręcącego się tutaj Leonsa.

— I łapałbyś ryby przed niewodem! — machnął ręką de Lussac. — O żadnym tryumfie mowy dotąd nie ma. Leonsa sprowadziła tu jego gwiazda przewodnia, piękna i cnotliwa jak nikt Blanka de Nangis, która żadnej sposobności nie opuści, żeby nie deklamować przeciw grze w ogóle, a graczom w szczególności.

— Eh! — rozśmiał się nieznajomy — niech no tylko Leons przejdzie się po owych salach, gdzie niegdyś tyle godzin spędzał, to garnąc złoto garściami, to znowu zgrywając się do ostatniej nitki. Lew i najbardziej oswojony, skoro krew świeżą poczuje, wraca do pierwotnego stanu dzikości. Tak samo dzieje się z graczem namiętnym, gdy nad uchem zagra mu terkot rulety, lub karty rozkosznie zaszeleszczą. Zresztą czego byś ty nie dokazał, szatanie wcielony!

— Dziękuję za komplement.

— I masz za co dziękować! W moich ustach, jest to wyraz najwyższego uznania. Wszak i jam tobie duszę na wieki zaprzedał.

Wpatrzył się w ziemię ponuro. Prędko otrząsł się z zadumy i znowu zapytał:

— A jakże idą nasze inne interesa?

— Źle, bardzo źle! — odparł de Lussac. — Heloiza zbuntowała się na piękne. Z księciem Ludwikiem, mimo mojej perswazji, zerwała stanowczo, banknotów rossyjskich więcej w kurs puszczać nie chce.

— Ostatniemy czasy — wtrącił Durand — mocno na nie nosem kręcą. A szkoda! Nająłem cud mieszkanko! Piwnice suche, doskonale oświetlone, jak raz na *laboratorjum*... na dole niby szynczek, niby restauracja... gospodarz jeden z naszych, duszą i ciałem wiadomej sprawie oddany. Na pierwszem zaś piątrze, trzy salki od dziedzińca i schody potrójne. Jedne w prost do piwnic prowadzą, a z tamtąd na uliczkę wąską, odludną. Postarałem się również o nową ruletę zasuwaną. W jednej chwili może wyglądać jak stół najprzyzwoitszy. A i stoły do gry mamy z dnem podwójnem, w którem karty nikną natychmiast. Kilku ptaszków upatrzyłem. Byle dostać jeszcze w szpony Leonsa i obskubać porządnie, a wtedy *adieu* kochana Europo! jak damy drapaka, to aż o Amerykę się oprzemy.

— Zapewne — mruknął de Lussac — radbym i ja czemprędzej zejść z oczów panom żandarmom. Nie pragnę bynajmniej zawierać z nimi bliższej znajomości.

— A cóż myślisz zrobić z Heloizą?

— Ta mi jeszcze będzie potrzebną. Sprowadzam ją najprzód: aby spróbować, czyby przecie nie podziałała na zmysły Leonsa, jako silny, odurzający narkotyk, powtóre: aby w danym razie, jeżeli by nam się noga powinęła, ratować się jej brylantami. W Ameryce trzeba albo ciężko pracować, lub też mieć zapas wielki gotówki. Pracować nie umiem, a skoro nam bruździ Heloiza i w spekulacjach nie pomaga, niechże innym sposobem pieniędzy dostarczy.

— I myślisz, że ci je odda dobrowolnie?

— Musi! — błysnął dziko oczyma zapytany. — Wytańczy sobie drugie takie, lub też odda rączkę dziewiczą, jednemu z licznych adoratorów, których wodzi na pasku i zostanie wzorową kapłanką ogniska domowego — rozśmiał się szydersko. — Zresztą jej losy bynajmniej mnie nie obchodzą. Ostatniemi czasy, jak psa mię traktowała, niechże uczuje moje zęby.

— I cóż mówi margrabina de Nangis, na romans córki z Leonsem Michaud?

— Ignoruje go zupełnie. Młodzi bądź rozmawiają oczami, z okienka do okienka, bądź widują się potajemnie u hrabiny Kervadek, która miłość tę wzięła cichaczem pod swoją opiekę. Co do margrabiny, ta jest nieprzejednana w swojej nienawiści i *fumach* arystokratycznych. Radaby, żeby jak woda ogień zalewa, tak fala zapomnienia pochłonęła ów fakt nieszczęsny, uważany przez nią za hańbę dla rodziny Nangis'ów, a który grozi dziś powtórzeniem w najbliższej przyszłości. Margrabina, to nasz najsilniejszy sprzymierzeniec. Liczę, iż pogarda i lekceważenie, które mimo wszystkiego, spotyka Leonsa ze strony matki, podrażni wreszcie w tak wysokim stopniu dumę jego, iż rzuci się na powrót w wir szalony, aby o Blance zapomnieć. Wtedy będziemy mieli pod ręką oczy palące Heloizy, i... grę. Ale, oddal się czemprędzej! — skinął de Lussac ręką rozkazująco. — Widzę na wysepce przed nami margrabinę z córką. Nie chcę, żeby nas razem widziały. Daruj *mon cher*! wyglądasz trochę za szubrawo na mojego towarzysza.

Durand oddalił się szybko, wprzód jednak rzucił wzrokiem pełnym jadu na Maksa, który krokiem elastycznym, wstępował na most, łączący wysepkę z lądem stałym.

Rozkoszne to było miejsce. Na stawie, jak kryształ przeźroczystym, wznosiły się dwie wysepki, niby zielone piramidy. Na jedną, jak już wspomnieliśmy, rzucono od brzegu mostek ozdobny, drugą woda na około opływała. Mnóstwo łódek, to w kształcie gondoli, to prostych czółenek, mknęło szybkim lotem, muskając lekko wody powierzchnię. Łabędzie podpływały do brzegu, lub do wysepek, połykając chciwie żer, przez publiczność rzucany. Tu najchętniej przesiadywała pani de Nangis, szczególniej, gdy mogła samotnie podumać, w godzinach, w których na wysepkach prawie nikogo nie było.

I teraz siedziały milczące na ławeczce kamiennej matka z córką; obie patrząc pilnie w około, jakby zakimś śledziły, lub na kogoś czekały. Blanka wprawdzie wiedziała, że skoro ją obok matki zobaczy, Leons zbliżyć się nie ośmieli, ale choćby tylko zdaleka spojrzeć na niego i to by coś warte było. Kogo pani de Nangis wyglądała, nie wiemy, to tylko pewna, iż projekt wyjazdu do Wiesbaden, powstał ni z tąd, ni z owąd, gdy od Irmy usłyszała, że tamże, na cały letni sezon de Lussac wyjeżdża.

Na drugi dzień zaraz posłała po lekarza, opowiadając o różnych dolegliwościach, i prosząc, żeby ją wysłał do Wiesbaden, które to wody będą dla niej najskuteczniejszemi. W kilka dni później wyjechała,

a biedny Leons, jak cień, zdaleka za niemi pociągnął. Irma obiecała również wkrótce nadjechać, skoro u sławnego Worms'a, kostjumy letnie będą gotowe. Mąż jej miał wziąć urlop, i także złączyć się z siostrą i żoną u wód.

Gdy spostrzegła nadchodzącego Maksa, margrabina drgnęła nerwowo, prędko jednak ułożyła twarz do uśmiechu, i przemówiła do niego grzecznie, jak zawsze. Gdy jednak atoli schylił się, aby jej rękę z uszanowaniem ucałować, taki wyraz wstrętu, odbił się w jej oczach i na ustach zawisnął, jak kiedy przypadkiem dłoń nasza zetknie się z gadem obrzydłym i jadowitym. Wrażenie to zniknęło szybko, jak łyśnięcie piorunu na tle chmur czarnem, i znowu twarz margrabiny przybrała maskę zupełnej obojętności.

XII.

NA MIEJSCU.

Pociąg pospieszny dudnił i huczał wyrzucając słupy iskier po szynach rozpalonych. To las cień rzucił na wagony, zasłaniając od skwaru słonecznego i zsyłając chłód upragniony bodaj na chwilę, to rzeka błysnęła srebrną wstęgą bliżej lub dalej, to wioski i miasteczka mignęły i znikły, jak senne widziadła.

Gdy po raz drugi zadzwoniono, do salonu dla dam pierwszej klasy, gdzie już poprzednio ulokowała się była panna Chênois, wskoczyła pędem biegnąc, dama młoda, przystojna, trochę za jaskrawo, jak do drogi ubrana, a za nią wszedł strzelec w liberji, aby powkładać rozmaite torebki, nesesery i tym podobne pakuneczki, na których eleganckiej z juchtu oprawie, lśniły srebne blachy, z monogramem J. K., i z koroną dziewięcio perłową. Heloiza znała dobrze tę postać oryginalną, tę ulubienicę salonów paryskich; widywała ją nieraz bądź konno, bądź w powozie w lasku bulońskim; zazdrościła, gdy ze sceny spojrzała na tę królowę mody, lśniącą w toalecie wyszukanej, we własnej loży, lub obok ambasadorowej, jej bliskiej kuzynki. Chociaż tak uwielbiana, panna Chênois wiedziała, że czegoś podobnego, jak dzielenia loży z księżną Metternich, dostąpić nie może.

Irma (ona to bowiem obładowana trzema kuframi, pełnemi kostjumów najwytworniejszych, spieszyła do Wiesbaden na męża nawet nie czekając,) rzuciła raz po raz okiem na towarzyszkę podróży. I jej ta twarz obcą nie była. Kiedy atoli i gdzie błysnęło jej to oko płomienne, uśmiechały się do niej rozkosznie te usta purpurowe, a lekko zaróżowione nozdrza noska cokolwiek zadartego, poruszały się namiętnie, jak u pełnej krwi Arabki, tego w żaden sposób przypomnieć sobie nie mogła.

Żywa jak iskra i nie lubiąca języczka brać w kwarantannę, hrabina zaczepiła towarzyszkę frazesem oklepanym.

— Pozwoli pani okno drugie otworzyć, tak duszno dziś i gorąco.

Heloiza okazała wszelką gotowość i tak się rozmowa nawiązała. Irma była zachwycona nieznajomą, jej dowcipem tryskającym, jak wino szampańskie z butelki, jej trafnemi rypostami, poglądem oryginalnym na świat i ludzi, a przedewszystkiem śliczną francuzczyzną i elegancją, tak w mowie, jak i w ruchach. Heloiza był to typ dziecka bruku paryskiego. Kameleon prawdziwy, lśniła wszelkiemi barwami. Gwałtowna i brutalna gdy w gniew wpadła, miotająca wtedy przekleństwa jak huzar stary i rozdająca policzki ogniste na prawo i lewo jak straganiarka, gdy chciała, potrafiła nastroić się na ton damy salonowej, a poruszała się z gracją i dystynkcją niaporównaną.

Dzień razem w wagonie przeżyty więcej zbliża, niż lata w jednem mieście, w najbliższem sąsiedztwie spędzone. Ciekawość zresztą Irmy za nadto była podrażniona, podała więc kartę wizytową, mówiąc z uśmiechem:

— Tak przyjemne chwile z panią przeżyłam, iż pragnę wiedzieć, komu je zawdzięczam?

— O! ja karty twojej hrabino nie potrzebuję — Heloiza dumnie głowę podniosła. — Proszę tylko, zanim moje nazwisko wyjawię, o zaświadczenie, iż pani mnię w wagonie zastałaś, ja więc jej się nie narzucałam. Ktokolwiek żyje w Paryżu, musi znać świetną gwiazdę salonów, piękną i powszechnie wielbioną Irmę de Kervadek. I ja więc z mojej niskości, podnosiłam wzrok tęskny i nieśmiały do tej gwiazdy i znam panią doskonale. Nazywam się zaś Heloiza Chênois, pierwsza solistka baletu.

— Satanella! — zawołała uderzając się w czoło hrabina, trochę na razie zmięszana, tą poufałą znajomością z baletniczką. Prędko jednak stłumiła pierwsze wrażenie, ciesząc się niemal spotkaniem tak oryginalnem. Dodała też z grzecznością ujmującą!

— Boska! nieporównana Satanella! Gdzież ja oczy podziałam, żeby też pani nie poznać? Zjawiałaś się mi zawsze, owiana nadziemskim prawie urokiem, otoczona świetlaną aureolą...

— O! — przerwała z gorzkim uśmiechem tancerka — urok to zwodniczy, blichtr fałszywy, aureola z kinkiet teatralnych! Takie to i nasze życie całe. Nam nie wolno sięgnąć po ów kwiat cudowny, który nazywa się szczęściem domowem. Bawią się nami i nam się tylko bawić każą, a gdy zapragniemy miłości szczerej, uczciwej, śmiech szyderski nam w oczy rzucają i z pogardą bezlitośną odtrącają,

Irma spojrzała zdziwiona. W tej istocie motylkowatej, nie spodziewała się znaleść takich pragnień i natrafić na strunę w jej sercu, takim bolem drgającą. Przypomniało jej się opowiadanie Maksa, o stosunku, jaki łączył niedawno jeszcze Leonsa z tą czarodziejką. Uczuła w sercu jakby czegoś złego przeczucie. Czy Heloiza nie jedzie umyślnie do Wiesbaden, aby odbić dawnego kochanka?

— Biedna Blanka! — pomyślała w duchu — cios by to był dla niej straszliwy, a czyż ten cichy anioł potrafi walczyć i zwyciężyć taką niebezpieczną Satanellę!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.